Tom VII. Nr. 12.

21. Października. 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Król Stanisław August Poniatowski.

III. Pierwsze rozerwanie Polski.

W tym samym roku, kiedy obrano Stanisława Augusta na króla polskiego, carowa moskiewska i król pruski uczynili Polakom przysięgę, iż nigdy nie będą krajów polskich wojować i sobie zabierać. Zaś kiedy konfederatom Barskim źle się dziać poczęło, wojowali ich Moskale i Prusacy. Kiedy zaś całkiem zniszczała konfederacya, i nie było komu bronić Polski, natenczas zapomnieli Moskale i Prusacy całkiem na swoją przysięgę, i chcieli koniecznie rozerwać między siebie kraje polskie.

Owoż nie bacząc na prawo i uczciwość, wprowadzili Prusacy swoje wojsko do Polski, i zajęli znaczny kęs kraju w Wielkiej Polsce. Tak samo uczynili Moskale, i zajęli kraj litewski, kędy są miasta Witebsk, Mścisław, Połock i inne. Zaś potem zaczęli namawiać cesarzowę austryacką, aby sobie także jaki kawał kraju polskiego wzięła.

Ta cesarzowa zwała się Marya Teresa, i była bardzo pobożna niewiasta. Więc nie chciała w żaden sposób uczynić

tak, jak jej radzili król pruski i carowa moskiewska. I jużci nie miał nikt prawa, aby tak czynić. Toć byłoby jednako, gdyby jaki silny gospodarz napadł swojego sąsiada chorego, i wydarł mu kawał gruntu, powiadając iż to czyni takiem prawem, że chory nie może się bronić. Tak i tu było. Polska była niby on chory człowiek, a Prusak i Moskal sąsiady. Iż się Polska bronić nie mogła, wydarli jej kawał ziemi i gospodarstwa, i jeszcze trzeciego namawiali do takiego grzechu. Sama więc cesarzowa Marya Teresa mówiła, że to jest grzech wielki tak czynić, i mówiła także, że Pan Bóg będzie karał okrótnie za ten grzech. Kiedy zaś król pruski i carowa moskiewska ciągle ją namawiali, i grozili jej nawet, to cesarzowa bardzo płakała, i zawsze przypominała na karę Bożą. Także mówiła cesarzowa tak: jeżeli Pan Bóg nie będzie karał nas, to nasze dzieci za ten grzech pokarze — i znowu okrótnie płakała, bo była nabożna niewiasta. Zaś na ostatku wzięła sobie także kawał kraju polskiego, to jest Ruś Czerwoną i Podola kawał i inszy kawał ziemi w Krakowskiem.

Po takiem rozszarpaniu krajów polskich, które nazywają pierwszy podział Polski, chcieli jeszcze aby Polacy na to wszystko przystali i zgodzili się ochotnie. Owoż zebrał się sejm, aby nad tem radzić, a Moskale moc okrótną wojska sprowadzili, i grozili każdemu śmiercią i okrócieństwami, ktoby niechciał wedle ich myśli radzić. Niektórzy panowie zlękli się, i nic nie mówili; zaś inni bardzo zacni i świętobliwi, jak pan Tadeusz Rejtan, Samuel Korsak, Bohuszewicz, Wilczewski i inni zacni, głośno i mężnie powiedzieli, że nigdy na taką krzywdę i na takie szarpanie Polski nie pozwolą, i prędzej umrzeć chcą i dać się zabić. Zacni ci panowie dawali swoje majątki i wszystko co mieli, aby tylko Polska była spokojna i szczęśliwa. Ale Moskale porwali ich, i wywieźli precz, i mało nie pozabijali. Jednakowoż sam król Stanisław August niechciał przystać na ten podział Polski, i wszyscy Polacy tak powiedzieli: Nie mamy siły, aby sprzeciwić się temu, co Moskale i inni uczynili, ale my Panu Bogu oddajemy tę sprawę, i niech on sądzi, kto ma prawo i uczciwość. Bo Pan Bog jest łaska-

wy i sprawiedliwy, a choć długi czas nie karze za grzechy, to na ostatku zawsze uczyni sprawiedliwość.

Taki to był pierwszy podział Polski.

Jałmużna.

W lichej sukmance na fłagi i szrony,
Ślepego ojca podpora jedyna,
Głodem i trudem chłopak wycieńczony,
Siadł na kamieniu i śpiewać zaczyna.

„O! wy na których niebo dary zlało,
Ślepego starca podratujcie dolę,
Wszystko już stracił — tylko mu zostało,
Ciężkie kalectwo, i słabe pacholę.

„Póki mógł zdrowiem i mieniem swem służył,
Z braćmi podzielał zaszczyty i znoje:
W nieszczęściu dotrwał, szczęścia nie nadużył
I dobro bliźnich przenosił nad swoje.

„Łakomy sąsiad naszedł jego niwy,
Pola stratował, domy ogniem strawił:
A równie srogi jak nielitościwy
Skatował starca i wzroku pozbawił.

„O! wy na których niebo dary zlało,
Ślepego starca ratujcie niedolę,
Wszystko już stracił — tylko mu zostało,
Ciężkie kalectwo i słabe pacholę.“

Tak śpiewał chłopak w łudzącym widoku,
Że litość w którym z przechodzących wzbudzi.
Przejeżdżał bogacz, z oburzeniem w oku
Złajał natręctwo włóczących się ludzi.

Wózek kupiecki niebawem się toczy,
Znacznem bogactwem wypchane rogoże.
Ten westchnął ciężko, wzniósł do nieba oczy
I rzekł pobożnie: „Niech was Bóg wspomoże.“

Szedł żołnierz polski w wytartej odzieży,
Żebraczką kończąc trud swój półwiekowy:
Spostrzega starca — z czułością doń bieży,
Dobył chleb z torby i dał mu połowę.

X. G.

Przyszła kreska na Matyska.

Różni bywają ludzie na tym bożym świecie, a więc i figlarzów jest też między nimi niemało. Jeszcze mniejsza o takiego, co to sobie niewinnie i nie ze szkodą drugiego pożartuje, bo tym sposobem często gęsto kogoś w jego frasunku rozweselić może; ale takiemu, co to oczywiście tylko na poszkodowanie drugiego dybie, nigdy to nie ujdzie na sucho.

Owoż do takich figlarzów należał także Matysek. Gdzie i kiedy się urodził, nikt o tem nie wiedział: dosyć że się włóczył od wsi do wsi, ze służby na służbę, a nigdzie jakoś długo miejsca nie zagrzał. Ale bo też to był figlarz nie lada: kroku nie postąpił, aby jakiego figla nie wypłatał. Bywało nie raz dziewczęta kąpią się w rzece, a Matysek przechodząc tamtędy pozabiera im odzienie z brzegu, i dotąd nie położy na miejscu, aż one niebożęta obiecają postawić mu kwartę lub więcej obrzydłej gorzałki. Albo nieraz znowu wyśle Matyska gospodarz na furmankę, a on zajechawszy do karczmy na popas, zajdzie sobie w rozmowę z innymi furmanami, i w szczerości mówi im, aby kazali żydowi dostawiać napitku, a on za wszystko zapłaci. Uradowani chłopi każą na rachunek Matyska dawać co niemiara, a on tymczasem podpiwszy sobie do woli, wystrychnie wszystkich jak to mówią na dudków, bo wyszedłszy po cichu z karczmy ucieka tak prędko, żeby go i wiater nie dognał, a biedni chłopi muszą płacić za cały poczęstunek.

Nie będę ja tu wam wszystkich takich figlów naszego Matyska opowiadał, bo tegoby i na wołowej skórze nie spisał; dosyć na tem, że w końcu znał go każdy tak dobrze jak zły szeląg i unikał jak powietrza, a nareszcie to i na służbę nie chciał nikt przyjąć takiego próżniaka i darmojada, bo roboty z niego ani za dziewkę, a jeść to jadł za czterech chłopów.

Ale że to nasz Matysek był sobie zmyślny jak mało, więc znowu przemyśliwał nad tem, jakiego by to figla wypłatać, ażeby sobie coś zarobić. Prędko jakoś rozmyślił się, bo aż sam do siebie na głos się roześmiał, i niebawem poszedł w drogę. Skoro świt stanął na pewnym gościńcu, którędy wiele ludu na jarmark do pobliskiego miasteczka przejeżdżać

miało. Tutaj wyjął wielki wór z pod płótnianki, wlazł do niego, a zawiązawszy się w nim, położył się obok pod drzewem i krzyczy w niebogłosy; „Oj ratujcie mnie dobrzy ludzie, ratujcie, ja nie umiem ani czytać ani pisać, a mnie chcą wybrać do Wiednia na deputowanego!“ Niedługo tak krzyczał, bo wnet nadjechał jakiś niemiecki kolonista z opakowaną furą, na której wiózł przeróżne rzeczy do miasteczka na sprzedaż, a usłyszawszy ono wołanie Matyska, przystanął trochę, i zlazłszy z fury przybliża się do onego worka, i pyta, co to wołanie ma znaczyć.

— Ej rozwiążcie no z łaski swojej worek miły człeku — odzywa się Matysek — a wszystko wam opowiem.

Niemiec wahał się z razu, ale wnet przemogła w nim ciekawość, i rozwiązał worek pytając się Matyska:

— A coż wy tu robicie mój człowieku?

— Oj bieda, oczywista bieda uczepiła się mnie mój dobrodzieju — odrzeknie Matysek i prawi dalej — ni ztąd ni z owąd chce mnie gromada z tej wsi co tu podle leży, obrać gwałtem na deputowanego, i tu mnie położyła, abym poszcząc przez trzy dni, mógł się dobrze do tego przygotować. A ja mój dobrodziejaszku nie potrafiłbym tam ani gęby otworzyć, a leżąc tutaj dopiero jedną dobę o głodzie, tak osłabłem, że mi się już do śmierci patrzy. Ulitujcie się więc nademną moiściewy kochani, i dajcie mi się czem posilić, a jeszcze tych dwa dni przecierpię, kiedy tak być musi.

— Spuść się jeno na mnie biedny człowieku — odrzeknie Niemiec — a ja cię całkowicie z tej biedy wyratuję. Oto jeżeli chcecie, to ja się całkiem przebiorę w twoje łachmany, a ponieważ pan Bóg tak nadarzył, że jestem trochę do ciebie podobny, to i zostanę w tym worku na twojem miejscu; ty zaś ubierz się w moje odzienie, siadaj na mój wóz, i rób sobie co zechcesz.

Wahał się nibyto z razu nasz Matysek tłómacząc Niemcowi, że to jest wielki honor być deputowanym, że to w Wiedniu dobrze za to płacą, a gdy mu Niemiec jeszcze coś gotowego grosza wsunął do kieszeni, wsiadł sobie Matysek na wóz, zaciął konie, i jako kolonista porządnie ubrany pojechał

na jarmark, a łakomego Niemca w podartych łachmanach zawiązawszy mocno we worku, zostawił wedle drogi pod drzewem.

Przyjechawszy na jarmark posprzedawał Matysek wszystkie rzeczy, nakoniec nawet wóz i konie, i za uzyskane pieniądze hulał sobie przez parę tygodni, że aż ha!

Gdy się już pieniądze minęły, Matysek widząc, że mu się raz sztuczka udała, miarkował że i drugi raz taksamo pójdzie. Poszedł więc znowu o parę mil dalej, gdzie jeszcze ludzie o tym wypadku nie słyszeli, i zawiązany we worku położył się koło drogi, kędy wiele luda przechodziło, krzycząc co chwila: „Oj ratujcie mnie dobrzy ludzie, ratujcie, ja nie umiem ani czytać ani pisać, a mnie chcą wybrać do Wiednia na deputowanego!“ Ale tą razą nie poszło jakoś tak szczęśliwie Matyskowi jak pierwej. Już dobrze było po południu, a jeszcze się nikt taki głupi nie znalazł, coby mu uwierzył. Dosyć prawda ludzi tamtędy przechodziło, ale każdy myśląc o Matysku, że mu się w głowie przewróciło, pożartował sobie z nim trochę i poszedł swoją drogą.

Przed samym wieczorem nareszcie szedł sobie tamtędy prędkim krokiem jakiś urlopnik, a zobaczywszy ów worek przy drodze, rozwiązał go prędko i pyta się Matyska, co on tu porabia, a gdy mu tenże znowu te same słowa co i Niemcowi powtórzył, ofiaruje się urlopnik, że jego miejsce zastąpi.

Matysek zaczął się targować, ale widząc że od urlopnika nie wiele może wyciągnąć, zgodził się nareszcie za parę dudków, a wdziawszy na siebie porządny mundur urlopnika, dał temu swoje podarte łachmany, a zawiązawszy go we worku, poszedł sobie do miasta. W lesie jednak zastępuje mu drogę parę żandarmów, i chwyciwszy go za kołnierz mówią do niego:

— A przecież cię mamy ty hultaju, złodzieju, coś na jarmarku różnych ludzi poobkradał — i nuż zaczynają naszemu Matyskowi szukać po kieszeniach, gdzie też w samej rzeczy znaleźli parę fajek, nożyków i innych drobnych rzeczy, o których Matysek nawet nie wiedział, bo spiesząc się do miasteczka nie miał nawet czasu macać się po kieszeniach.

Matysek przestraszony klnie duszę i ciało, że o niczem nie wie, że nawet nie był na jarmarku, i opowiada żandarmom swoją przygodę z owym urlopnikiem. Ale żandarmi trzymając to wszystko za wybieg złodziejski, zakuli naszego Matyska w łańcuszki, i odprowadzili do becyrku. Tu dopiero poschodzili się różni oskarzyciele i mówią: Owoż ten, ten w tym siwym płaszczu i w tych niebieskich spodniach porwał mi zegarek złoty, i wmieszał się prędko między ludzi, żem go i ścigać nie mógł. A mnie znowu, prawi drugi, ukradł spory woreczek drobnych pieniędzy, co stały na boku. A mnie, woła znowu inny, ściągnął on parę fajek i nożyków — i tak każdy się na coś uskarzał. Tłómaczył się nasz Matysek jak mógł, ale już nie potrzeba było lepszego dowodu jak to, że wszyscy go poznali, bo mówili, że tak samo był ubrany, i ponieważ jeszcze parę drobnostek przy nim znaleźli. Tu dopiero poznał Matysek, że ów urlopnik nie był nikt inny, jeno ów złodziej, co to wiele ludzi w mieście poobkradał, i który co lepsze rzeczy przy sobie zatrzymał, a resztę zaś drobnostek wraz z odzieniem dał Matyskowi i tym sposobem wydał go na poszlakę, a sam zaś ukrył się przed pogonią. Prosił więc Matysek wysokich sędziów, aby kogo z nim wysłali, a on im prawdziwego złodzieja i resztę skradzionych rzeczy odkryje. Udało się więc parę urzędników na to miejsce, gdzie Matysek wskazywał, i nie znalazłszy tam nikogo, bo urlopnik wylazłszy z worka, Bóg wie za którą już był górą, — rozsierdzili się jeszcze gorzej, i zamknęli naszego Matyska na cały rok do aresztu, a co go się nabili, tego nawet nie rachowali. Dopiero w kilka miesięcy złapali prawdziwego urlopnika i złodzieja, i gdy ten wydał prawdę, puścili Matyska na wolność, ale co wziął na skórę i co odsiedział w kozie, to taki przepadło na wieki.

Tak to moiściewy, dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucho nie urwie — dopóty i figlarz zwodzi ludzi, dopóki mu się za to wszystko dobrze nie upiecze.

Jacenty z Magierowa.

Śpiewka ułana.

Hej piko moja piko – szabelko jedyna,
Hej coś mi się ta bardzo bójka przypomina,
Bójka z kozakami, z innymi szłapaki,
Oj pójdę bić to drańctwo, bo już ja zuch taki.

Hej pójdę ja pod Grochów, wezmę szczyptę ziemi,
Hej pójdę pod Olszynę, zerwę coś zieleni,
I razem ze szkaplerzem na sercu zawieszę,
I pójdę pobić wrogów, więc się coś pocieszę.

A jużci że pocieszę niemało, oj wiele,
I modlić się już będę mógł nawet w kościele,
I w sercu lżej mi będzie i już mniej boleśnie,
Bo może ją zapomnę w dzień, może i we śnie...

Historya o Jackowym kącie i o świętym buku.

Opowiedział
Sierota z Manajowa.

Będzie temu lat nie mało, jak w ogromnym lesie koło Skolego mieszkał Jacko Czarny, zbój okrutny. Nazywali tego Jacka czarnym dla włosów czarnych na głowie i na brodzie, których miał tęgi snop. Zaś był on zbój wielki, i był hersztem całej bandy łotrów, z którymi napadał dwory, wsie i kościoły, łupił wszystkich i mordował ludzi jak barany. Bali się go wszyscy długi czas, i nikt nie śmiał zajść do jego siedziby, którą ludzie nazwali Jackowym kątem. Także z wojskiem chodzili złapać go nieraz, ale nigdy im się to nie udało, a Jacek jeszcze gorzej potem łupił mieszkańców okolicznych i palił. Na ostatek zapowiedział, aby mu wszyscy składali okup jak daninę, i musieli tak czynić, bo inaczej nikt nie był pewnym życia.

Owoż razu jednego przyszedł jakiś żebrak do wsi sąsiedniej, i prosił xiędza aby poszedł wyspowiadać leśnego z Pobuka, który ciężko zachorował. Mieszkał ten leśny na końcu wsi, i trza było iść do niego wedle Jackowego kąta. Był ten leśny także człek zły, od wielu lat nie chodził do cerkwi i ciągle zapijał się w karczmie. Gadali nawet ludzie, że pienią-

dze na gorzałkę ma z rozbojów, i że należy do bandy Jackowej. Niktby więc do niego nie poszedł, ale poczciwy dobrodziej, chociaż stary i chory, zaraz wybrał się w drogę, i nie uważał że była okrótna zamieć śnieżna, i że iść przychodziło wedle Jackowego kąta, a naostatek że do zbója prawdziwego miał iść. Zacny xiądz więcej dbał o zbawienie duszy ludzkiej jak o własne zdrowie i życie, a nawet ucieszył się, że bezbożnika nawróci. Wziął więc z cerkwi kielich złoty i najświętsze ciało i krew pana Jezusa, a diak z latarką i z dzwonkiem szedł naprzód za owym dziadem przewodnikiem.

Szli tak po śniegach okrótnych i po bezdrożach. Wiatr wielki sypał w oczy śniegiem. Diak dzwonił zębami ze zimna i ze strachu, oglądał się często na xiędza, a ten spokojnie i z wielkim trudem szedł dalej. Diak był chłop wielki i silny, a xiądz chory i stary.

Byli już blisko Jackowego kąta, którędy przechodzić musieli, a tam wielki ruch był i dużo gadaniny. Sam Jacek ze sześciu zbójami wylazł z nory swojej, kazał naniecić ogień, i jął rozkazywać.

— Hej ty Hrycku — zawołał na zbója garbatego z rudą brodą i z jednem ślepem okiem, a z powybijanemi zębami — staniesz tu przy drodze, i będziesz czekał z toporem. Jak nadejdzie xiądz, zaraz diakowi uczyń koniec, a wal w sam łeb toporem. Potem z przewodnikiem xiędza przyprowadzisz do mnie.

Potem zawołał Jacek na inszego, który był chłop wielki a z jedną krzywą nogą, w łachmanach niby dziad, bo za takiego udawał się po odpustach i jarmarkach, gdzie setnie ludzi okradał.

— Ty kulasie — mówił do niego Jacek — położysz się w rowie i będziesz uważał na wszystko. Jak zabiją diaka i przyprowadzą xiędza, będziesz u wchodu pilnował; a jakby było jakie niebezpieczeństwo, dasz znak na świstawce.

Stało się wszystko jak rozkazał Jacek. Garbaty rabuś ubił diaka i przyprowadził xiędza do Jacka. Wtedy ów zbój okrótny wziął pistolet nabity, przystąpił do xiędza i przyłożył mu pistolet do piersi. Xiądz trzymał mocno kielich, i zaczął odmawiać głośno modlitwę: „Pod Twoją obronę“. Wtedy za-

wołał Jacek okrótnym głosem: Xięże, daj zaraz rozgrzeszenie mnie i moim towarzyszom, albo cię wnet ubiję.

Xiądz nie odpowiedział nic, jeno w górę podniósł kielich, i zawołał: „Wszelkie kolano ugina się przed panem zastępów“.

Kiedy to powie, wszyscy zbóje padli na kolana, i broń z ręki upuścili. Tylko Jacek stał ciągle, i wołał okropnym głosem: Albo daj odpuszczenie grzechów, albo zginiesz.

Na to rzeknie xiądz: Tylko tym odpuszczam grzechy, którzy w pokorze proszą o to, i żałują za swoje winy.

Jacek na to krzyknął: giń — i strzelił. Xiądz upadł, potem na chwilę jeszcze podniósł się, pobłogosławił klęczącym zbójom, a wnet bez ducha upadł znowu na ziemię.

Wtedy wyleciał kielich z jego ręki, i potoczył się daleko aż pod drzewo bukowe. Jacek zobaczył to, i pobiegł aby kielich wziąć. Zaś kiedy ręką sięgnął, buchnął jasny płomień z kielicha, i kielich stopniał na węgiel. A pod nogami Jacka rozstąpiła się ziemia i pochłonęła go żywcem.

Zwaliła się nora Jackowa, a owa skała, na którą padła krew xiędza zamordowanego, jeszcze do dziś dnia ma czerwone znaki.

Zaś reszta onych zbójów przestała łotrować, i zaczęli żyć uczciwie. Sługiwali po świętych miejscach, i pomarli nawróceni. Jeden z nich dał na wieczną ofiarę do cerkwi tamecznej, gdzie do dziś dnia odprawia się msza co roku pod onem drzewem bukowem, którego liście krwawo połyskują, i w którem ma być do dziś dnia owa krew święta, jaka się rozlała pod nim z kielicha.

GAWĘDA NIEDZIELNA

profesora szkółki wiejskiej z gromadą.

Wawrzyniec. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Profesor. Na wieki wieków, amen.

Grzegorz. Zaraz po nieszporze ciągniemy do pana profesora na gawędkę, żeby czasu i chwilki nie stracić.

Profesor. Więc wam się kochani bracia tak podobają nasze gawędy.

Wawrzyniec. To się rozumie; człowiek tu się takich ciekawych rzeczy nasłucha, że przybiegłby nawet z końca świata, żeby się coś nowego dowiedzieć.

Profesor. A powiedzcie mi miły Wawrzyńcze, gdzie to jest ten koniec świata.

Wawrzyniec. Ktoż tam wiedzieć może, pewno gdzieś za górami, za morzami, za przepaściami; wypadałoby może iść jaki rok żeby zajść aż na koniec świata.

Profesor. Otoż widzicie mój bracie, że choćbyście i tysiąc lat wędrowali, to na koniec świata nie zajdziecie.

Wawrzyniec. O święty Panie, to świat taki wielki.

Profesor. Nie to żeby miał być wielki, ale to że końca nie ma.

Grzegorz. No, jużci jak jaka rzecz końca nie ma, to musi być okrutnie wielka.

Profesor. Ja wam pokażę rzecz nie mającą *końca*, chociaż bardzo maleńką.

To rzekłszy wyjął profesor z kieszeni kulę z drewna wyrobioną i podawszy gospodarzom, rzekł: No moi przyjaciele powiedzcie mi, gdzie tu jest koniec?

Gospodarze rozśmieli się, a Grzegorz rzekł: Ba, jakże może być koniec, kiedy to kula. A na to powiada profesor: Ba, jakże może być koniec na ziemi, kiedy ziemia jest kulą?

Grzegorz. Juścić trzeba panu profesorowi wierzyć, kiedy tak mówi, ale mnie się to w żaden sposób w głowie pomieścić nie może, bo gdyby ziemia była kulą, tobyśmy z niej pospadali wszyscy.

Profesor. Uważajcież Grzegorzu co wam powiem. Będzie temu lat z górą trzysta, jak jeden człowiek zwany Magiellan, wyprawił się na morze i płynął ciągle na zachód. Okręt z ludem, na którym się znajdował, po półtrzecia roku przybił do tego samego brzegu, chociaż wciąż płynęli przed siebie, tak prawie jak gdybyście palcem oprowadzili kulę w około. Otoż tu macie dowód, że ziemia jest okrągłą, bo gdyby była płaszczyzną, toby coraz bardziej oddalali się od rodzinnego miasta.

Wawrzyniec. To dziwna rzecz.

Profesor. Jeszcze wam powiem jeden dowód, że ziemia jest okrągłą. Oto jeżeli idziecie równiną do jakiej wsi, to widzicie najprzód wieżę kościelną, potem dach kościelny, wreszcie domostwa. A to dlatego, że wypukłość i okrągłość kulistej ziemi zasłania spód oddalonych budowli. Że zaś nie możemy objąć okiem tej kulistości, to dla tego, że to jest tak ogromna kula, iż ma pięć tysięcy czterysta mil w około, a na jej obejście zwykłym krokiem idąc po sześć mil na dzień, trzebaby blisko trzy lata.

Wreszcie obejrzyjcie się do koła stojąc wśród równiny, zdaje się że w okoluteńko, daleko od nas ziemia styka się z niebem.

Grzegorz. To jest prawda.

Profesor. Ale idźcie na to miejsce, kędy się wydaje, że ziemia dotyka nieba, to ujrzycie, że niebo tak wysoko jak i tam zkąd odeszliście.

Wawrzyniec. Toć i prawda.

Profesor. Otoż to dla tego, że ziemia jako kula zagina się, gdyby zaś była płaska i równiuteńka, toćbyśmy ją mogli przejrzeć i kilkadziesiąt i więcej mil.

Wawrzyniec. Nieinaczej.

Profesor. Tym więc sposobem przekonajcie się, że ziemia jest kulą, a że z niej nie spadamy to dla tego, że nas przyciąga do siebie. Ot naprzykład rzucam kamień do góry, a on zaraz spada na ziemię.

Wawrzyniec. A no, bo ciężki.

Profesor. A cóż jest ciężar, jeżeli nie przyciąganie ziemi, toć i wy Wawrzyńcze jak was pociągnę, mimo ciężaru musicie się na mnie potoczyć, bo was moja siła pociąga.

Grzegorz. Ale przecież ludzie od razu poznaliby, że ziemia jest kulą, a tymczasem każdemu się zdaje że jest równa.

Profesor. Powiedzcie mi, czy też robaczek, jak go zaniesiecie na wielką górę okrągławą, a ciągnącą się na parę mil wzdłuż i wszerz; czy też ten robaczek pełzając powolnie, może wiedzieć, że ta góra zagina się ku dołowi, kiedy on ledwie na kilka kroków przed sobą widzi; tak też i człowiek, który le-

dwie parę mil kraju przejrzeć może, nie zmiarkuje wcale kulistości ziemi.

Grzegorz. Już też wierzę co pan profesor mówią, ale pięćdziesiąt łat blizko żyję na świecie, a nie słyszałem nigdy, żeby ziemia miała być kulą.

Profesor. Na dziś tyle dość żeście się przekonali o tem, jako jest ziemia okrągła, na przyszły tydzień powiem wam więcej moi kochami przyjaciele, rozmyślcie sobie to dobrze i zapamiętajcie.

Z Kmiotka.

Piękne przykłady.

1. Wzorowa gromada w Ropie.

Jest między górami Karpackiemi nad rzeką Ropie wieś, która się nazywa także Ropie. Biedna to wioska, glebę ma zimną, w pagórkach mokrą, a na górach urodzajnej ziemi ledwie na dwa cale. Aby z niej coś mieć, muszą ludzie palić łany, i tak ledwie przez rok albo dwa coś się urodzi, a potem znów na ugor zarasta krzakami. W niższych miejscach wilgoć okropna. Przeto dawniejszemi laty były tu okropne głody i ludzie marli jak muchy. A teraz jest tu dostatek, i wszystko nawet dość bogato, choć okolica ta sama. Opowiem wam jakim się to stało sposobem.

Przed sześciu laty wystawiła gromada wspólny szpichlerz, i zsypała tam wiele było można, więc 100 korcy owsa a 20 korcy jęczmienia. Otoż było bezpieczeństwo od głodu. Na drugi rok wystawiła gromada stajnię plebańską. Na trzeci rok zbudowali szkołę z pomieszkaniem dla nauczyciela, któremu rocznie płacą 150 reńskich nowych. Więc nauka dała im rozum lepszy, a gdzie jest rozum, tam i szczęście się znajdzie. Na czwarty rok znowu dali nowy dach na kościoł, i zrobili składkę, a za te pieniądze obili cynkiem kopuły na wieżach i sygnaturce. Owoż pamiętali ludzie o Bogu, więc i pan Bóg o nich nie zapomniał, ale im wciąż błogosławił, tak iż dziś nie znajdziesz tam dawnej biedy ani śladu. Naostatek tego roku wybudowali całkiem nową plebanię i zabudowania gospodarskie, a wioska wygląda pięknie jak miasteczko jakie.

Na te wszystkie budowania dawał pan dziedzic drzewo budulcowe, gonty i deski, a to na szpichlerz, potem na plebanię i kościół, zaś za pomalowanie dachu kościelnego i na insze potrzeby dał tenże pan niemało własnych pieniędzy.

Zaś na tem jeszcze nie koniec. Gromada sprawiła do kościoła dwie chorągwie proporcowe i prześliczny kielich na ciało i krew Pańską, a naostatek uczyniła kasę oszczędności, czyli towarzystwo wzajemnej pomocy. Każdy daje tam wedle możności grosz, a kiedy bieda, kiedy potrzeba albo nieszczęście na kogo przyjdzie, to ma swoje pieniądze i ratunek od drugich gotowy, tak że niczego obawiać się nie potrzebuje. Dopiero rok jak ta kasa jest, a już ma w niej gromada 314 reńskich srebrnych, które sobie złożyli.

Toć nie ma większej radości, jak patrzyć na taką wioskę i na taką gromadę. Wszystko tam pięknie, wszystko dostatnio jak się patrzy, wszystko uczciwie i bogobojnie jak Pan Bóg przykazał. Ludzie pobożni, pracowici i biedy nie znają: dziatki dobre i uczone, z xiążki się modlą w kościele, a w domu uczą się z niej miłości Boga i uczciwego życia. Wszędzie widać błogosławieństwo Boże. A toć cudem prawie stało się, i tylko za łaską Boga, aby taka biedna wiosczyna mogła w krótkim czasie przyjść do takich dostatków.

Daj wielki Panie Boże, aby ten piękny przykład brali sobie ludzie na uwagę, aby na naszej ukochanej ziemi polskiej coraz więcej było takich zacnych gromad i takich pięknych wsi. Daj wielka królowo Polska, Najświętsza Panno Maryo, aby Twój kraj i naród Twój coraz więcej miał błogosławieństwa Bożego, aby pod Twoją świętą opieką przyszedł do szczęścia i dostatków. O Najświętsza Królowo Polska daj to i uproś nam u Pana Boga, aby tym sposobem powróciły dawne dobre czasy jak były za królów naszych miłościwych, za których czasów Najświętsza Marya była królową Polski.

2. Włościanie z Bussowny.

W królestwie Polskiem w powiecie Krasnostawskim jest wieś Bussowna, której dziedzic daje następującą wiadomość o poczciwych włościanach tamecznych. Powiada on iż tego roku

przy żniwie było bardzo trudno o robotnika, tak że go za żadne pieniądze dostać nie mógł. Zboże dojrzałe marniało na pniu, aż rozpacz było patrzeć. Otoż włościanie tameczni i okoliczni pomiarkowawszy to, postanowili aby panu dać pomoc. Więc z własnej chęci dali mu co dzień 300 albo 400 robotników, a tak za kilka dni żniwa całkiem ukończyli. Potem zapłatę nie chcieli wziąć tylko najmniejszą, jaką w okolicy dawano.

Otóż macie przykład, jak ludzie powinni dbać na dary Boże, i nie dać im zmarnieć. Kiedy tak oni panu serdecznie pomogli, toć i pan im rad będzie odwdzięczyć się każdą pomocą, jakiej od niego będą potrzebować. Tak będzie miłość i zgoda między nimi, i po chrześciańsku żyć będą między sobą, jak Bóg kazał żyć braciom, a przecież i panowie i kmiecie są braćmi. I będzie błogosławieństwo Boże z nimi, którego życzymy wszystkim, i o które dla wszystkich prośmy Pana Boga.

3. Włościanie na Litwie.

Piszą nam z Litwy, że tam ludzie wiejscy bardzo ochotnie biorą się do nauki, i coraz im lepiej dlatego się dzieje. Zaś najbardziej na Żmudzi, która jest część kraju litewskiego, kochają się ludzie bardzo w nauce, i rzadko znaleść wieśniaka, któryby czytać nie umiał. A choć tam jest ucisk okrótny od Moskali, przeto ludzie jakoś żyją i Bóg im błogosławi. Nie słychać tam o swarach różnych jak gdzie indziej, nie słychać o żadnych psotnikach i złych ludziach. Dziedzice żyją z kmiećmi w zgodzie i w braterstwie, pijaństwa nie ma ani śladu, a wszędzie pięknie i zgodnie aż miło. Jak nam znowu ztamtąd nowiny napiszą, to wam je wydrukujemy, abyście moi mili wiedzieli co się dzieje po wszystkich ziemiach polskich. Zaś teraz proście Boga, aby raczył naszych braci litewskich i innych wybawić od ucisku moskiewskiego, który jest okrótny dla ludzi.

4. Zacny kmieć Jan Godek.

W miasteczku Frysztaku w powiecie Jasielskim był niedawno jarmark. Mnóstwo ludu było na nim, a między tymi tak-

że pewien żyd ubogi z Wysoki. Ten miał przy sobie cały majątek, tj. 110 reńskich w pularesie, z którego majątku utrzymywał swoją liczną rodzinę. Na nieszczęście zgubił on ten pulares z pieniędzmi, i na żaden sposób nie mógł go odszukać. Pomagał mu urząd szukać, ale wszystko daremnie. Biedny żyd poszedł nakoniec do xiędza proboszcza we Frysztaku, i prosił go, aby w kościele ogłosił ludowi jego zgubę. Uczynił tak xiądz proboszcz, i po kazaniu opowiedział o biednym żydzie i o jego zgubie, także o nędzy, którą on dla tego cierpieć musi.

Na drugi dzień przyszedł do xiędza kmieć pewien ze wsi Stępiny, który się nazywa Jan Godek. Otoż opowiedział on, że słyszał od ludzi, którzy byli w kościele, o zgubionych pieniądzach żyda. Znalazłem je — powiada Godek — ale nie wiedziałem komu oddać, bo byłbym to zaraz uczynił. Więc proszę xiędza dobrodzieja oddać je żydowi biednemu. Xiądz dobrodziej bierze pulares, patrzy, aż tu wszyściutkie pieniądze i karteczki, tak że ani grosza nie brakowało. Uradowany powiada Janowi, że mu się należy znaleźne w nagrodę. Ale poczciwy Godek odpowiedział, że ma tyle, wiele mu potrzeba, a biednemu krzywdy czynić niechce. Także powiedział, iż nic mu się nie należy, bo oddać cudzą rzecz powinien każdy uczciwy człowiek, a znalezione schować i nie oddać, to znaczy tak jakby ukraść.

Za to zacne serce Jana Godka niech mu Pan Bóg błogosławi, i niech da ludziom ochotę, aby także takimi byli.

RÓŻNOŚCI.

Cudowne uzdrowienie. Niedawno stało się takie we Lwowie. Był odpust w kościele ojców Dominikanów, a na nim ludzi nie mało. Między nimi pewna panienka młoda, a ta nazywa się Emilia Majer, i przyjechała do Lwowa ze Stanisławowa, aby się na oczy wyleczyć, bo bardzo chorowała i całkiem już oślepła. Ponieważ jej już nic nie pomagało, więc zdała się na łaskę Bożą, i prosiła aby ją zaprowadzić do kościoła. Tam upadła na kolana przed cudowną Matką Boską królową polską i ofiarowała jej siebie w opiekę, a modląc się długo i pobożnie, płakała serdecznie. Kiedy powstała, przejrzała nagle, i zawołała w wielkiej radości: Ja widzę. Byli tam inni ludzie, którzy to wszystko widzieli, i łaskę Matki Boskiej królowej polskiej dla dobrej panienki.

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.